

19. Kim jestem?

Od chwili gdy odkryłem swoje możliwości, mijały tygodnie, a ja tkwiłem w tej samej niewiedzy. Nie rozumiejąc swojego stanu, przestałem doszukiwać się drugiego dna. Kompletnie porzuciłem logikę, bo to, co przeżywałem, całkowicie jej zaprzeczało. Ze spokojem przyjmowałem więc wszystko, co podsuwał mi los, i wykorzystywałem według własnych potrzeb.

W dalszym ciągu czasem powątpiewałem we własną poczytalność. Miałem poważne obawy, że któregoś razu, gdy położę się spać, obudzę się w kaftanie bezpieczeństwa, po czym usłyszę od kogoś mądrego, że nie było żadnych wizji, nie mam żadnego daru, a świat, w którym ostatnio żyłem, w rzeczywistości jest jedynie efektem skomplikowanego zaburzenia psychicznego.

Nic takiego jednak się nie działo. Za to w końcu na dobre obudził się we mnie dawny egoista.

Miałem dużo pieniędzy, bo chciałem je mieć, wzbudzałem zaufanie, bo kontakt z dowolnym człowiekiem pozwalał mi na poznawanie jego pragnień, problemów i sposobów ich rozwiązywania. Niewytłumaczalna siła zrobiła ze mnie mistrza manipulacji, doskonałego krętacza. Uwierzyłem, że zabawiając się w ten sposób z losem, odnajdę namiastkę utraconego szczęścia. Mimo że przynosiło mi to chwilową satysfakcję, to jednak tylko zagłuszało cierpienie. Szybko zrozumiałem, że chociaż mogę tak wiele, wciąż pograżało mnie pragnienie niemożliwego. To, czego naprawdę potrzebowałem, w dalszym ciągu znajdowało się poza zasięgiem. Niszczyła mnie tęsknota za Weroniką, a świat, który zaprzeczał wszelkim znanym mi prawom, podtrzymywał we mnie absurdalną wiarę w odzyskanie jej...

Gubiąc się we własnych poczynaniach, często zastanawiałem się, czy moja moc jest darem czy przekleństwem. Zacząłem brać pod uwagę, że takie dziwadło mogło powstać po to, żeby czynić zło. Byłem świadomy, że mogę wykorzystać i podporządkować sobie niemal każdego. Czułem moc i władzę. Czułem, że byłbym w stanie rozpętać najpotężniejszą wojnę. Przecież wystarczyłoby do tego jeden uścisk ręki wpływowego polityka i analiza reakcji na zdarzenia, które mógłbym równie łatwo sprokurować. Miałem

wrażenie, że stan, w jakim się znajduję, czyni ze mnie niebezpiecznie uzbrojonego psychopata. Rozchwiany emocjonalnie miałem pod ręką czerwony przycisk.

Jedyną pożyteczną formą spędzania czasu była praca. Nie stanowiła dla mnie żadnego wyzwania, bo bez większego wysiłku sprawiałem, że szło mi w niej doskonale. Firma, w której właśnie otrzymałem udziały, wywiązywała się perfekcyjnie z największego kontraktu, jaki dla niej podstępnie zdobyłem. Kontrolowałem realizację związanych z nim działań i nie pozwoliłbym nikomu na popełnienie choćby drobnego błędu, jednak ku mojemu zaskoczeniu wszyscy świetnie sobie radzili bez żadnych interwencji. Ludzie, z którymi pracowałem, wręcz jedli mi z ręki. Jako udziałowiec spółki w krótkim czasie w podobny sposób załatwiłem jej jeszcze kilka sporych umów. Z niewielkiego przedsiębiorstwa tworzyłem prężnie rozwijającą się korporację. Sukces gonił sukces. W ciągu trzech miesięcy zmieniliśmy biuro na znacznie większe, kupiliśmy nowy sprzęt, potroiliśmy ilość zatrudnionych ludzi i zwiększyliśmy przychód do kwoty, o jakiej nikt dawniej nie śnił.

Mimo że to osiągnięcie opierało się na moich niewytłumaczalnych zdolnościach, czułem, że jestem coś winny dwójce moich współpracowników. Ludzkim odruchem była wdzięczność za to, że pomogli mi w realizacji moich celów.

Pierwszym z nich była Patrycja. Ponieważ rozpocząłem tę budowę na szansie, jaką to ona otrzymała, doprowadziłem do jej awansu, co wiązało się ze znaczną podwyżką. Tak jak można było się spodziewać, pomogło to rozwiązać większość niejasności w naszej relacji. Od tej chwili znów mogliśmy rozmawiać jak dawniej.

Drugim był oczywiście mój dawny szef i obecny wspólnik Tomek. Znajomość z nim układała się jeszcze lepiej. Bądź co bądź mój zawodowy wzlot umożliwiła mi jego odważna decyzja. Później co prawda dowiedziałem się, że mogłem zdobyć pieniądze w znacznie łatwiejszy sposób, ale moja wdzięczność za jego gest pozostała niezmienna. Z tego powodu pomagałem mu tak, jak tylko potrafiłem, zarówno zawodowo, jak i prywatnie, często nawet bez jego wiedzy.

Tomasz i Patrycja doskonale wiedzieli, że dzięki naszym relacjom ich życie zmienia się na lepsze i z całych sił wspierali moje decyzje. Chyba czuli, że dzieje się wokół mnie coś niezwykłego, i chętnie z tego korzystali. W przyrodzie takie zjawisko nazywa się komensalizmem. Byli jak te małe rybki, które wiecznie pływają z rekinem, oczyszczając go z pasożytów i transportując się z jego pomocą na duże odległości.

Przyglądając się temu z boku, można było pomyśleć, że wszystko potoczyło się idealnie, jednak w rzeczywistości mój sukces niósł za sobą sporo skutków ubocznych. Zamiast mnie rozwijać, sprawiał, że zachowywałem się lekkomyślnie. Łatwo dałem się wciągnąć w świat materialnych pokus, przez co dla własnych uciech przestałem liczyć się z pieniędzmi. Wziąłem w leasing sportowego mercedesa, nabywałem wszelkiego rodzaju gadżety, jakie wpadały mi w oko, i przymierzałem się do kupna drogiego domu. Majątek był dla mnie kolejną używką, która pozwalała na kojenie bólu. Chwilowa radość skutecznie odwracała moją uwagę od zmartwień... pustymi wartościami wypełniałem swoje nic niewarte życie. Z biegiem czasu udoskonaliłem też swoje umiejętności. Wprowadzanie w wizję opanowałem niemal do perfekcji. Wystarczył ułamek sekundy, niepozorne zaczepienie czy nawet lekkie otarcie, żebym przeświecił losy dowolnej osoby. Zamiast zrobić z tego większy pożytek, głównie skupiałem się na tym, co mogę zrobić dla siebie. Wdrażałem w życie coraz dziwniejsze pomysły. Szukałem sposobów na sprowokowanie zdarzeń, które pozwolą mi poczuć prawdziwą moc mojego daru.

Sytuacje, jakie w tamtym czasie wywoływałem, sprowadzały się jednak do bezcelowej zabawy ludzkim losem. Dawniej miałem plany niesienia pomocy innym, a wyszło na to, że kierowałem się własnymi korzyściami i kompletnymi głupotami, jak choćby odgrywaniem się na kimś czy rozbawianiem samego siebie cudzym kosztem. Wychodził ze mnie człowiek, którym nie byłem od nastoletniego wieku. W efekcie w moim otoczeniu doszło do kilku epizodów, które dopiero po jakimś czasie uznałem za głupie. Jeden uderzył głową w znak, drugi się przewrócił, trzeci miał stłuczkę, a czwartego osrał ptak. Czerpałem radość ze zwykłego wydurniania się i nikt nie byłby w stanie przemówić mi wtedy do rozsądku.

Jeśli ostatecznie zrobiłem coś dobrego, jak w przypadku narkomana z Chotomowa, nie można było tego nazwać przebłyskiem szlachetności, tylko próbą poprawienia własnego samopoczucia. Z tego samego powodu obstawiłem mecz i oddałem zwycięski kupon bezdomnemu, a innego razu przegoniłem jakiegoś dzieciaka z placu budowy, bo wiedziałem, że złamie tam nogę. Potrzebowałem takich chwil, żeby wciąż mieć o sobie dobre zdanie i dalej się bogacić z wiarą, że robię przy tym coś dobrego.

Zagłuszając w ten sposób sumienie, w dalszym ciągu bawiłem się, grzebiąc w menu serwisowym świata... albo inaczej rzecz ujmując – wychodziło ze mnie gówniarstwo. Nie skupiałem się nad tym, ile dobrego mogę dać światu, a ile dobrego mogę mu zabrać. Ciężko

było we mnie zobaczyć tego szczerego chłopaka, który niedawno chciał wspierać innych i naprawiać, co tylko się da.

Jedyną osobą, przynajmniej częściowo świadomą moich umiejętności, była Ada. Tempo zmian, jakie zachodziły w moim życiu, systematycznie utwierdzało ją w podejrzeniach. Chyba zaczęła się mnie obawiać, bo niemal przestaliśmy się widywać, a gdy już do tego doszło, nie pozwoliła mi nawet położyć ręki na ramieniu. Chociaż czułem, że powinienem z nią o tym porozmawiać, w obawie przed prawieniem kazań wolałem unikać tematu.

Przez jakiś czas oszukiwanie samego siebie wychodziło mi całkiem dobrze. Przyszedł jednak moment, kiedy w moim umyśle zwyciężyły wyrzuty sumienia. Nie miałem problemów z tym, co nawyprawiałem, ale z tym, że nie wykorzystuję swojej siły w dobrych celach. Poczułem tęsknotę za moralnością, lekkością ducha i ludzką wdzięcznością. Od tamtej chwili moje tanie wyskoki przestały przynosić mi radość.

Kluczowe do uświadomienia sobie faktu, że wybrałem niewłaściwą drogę, stało się nieoczekiwane zdarzenie. Któregoś razu, jak niemal każdego dnia, wybrałem się na zakupy do pobliskiego marketu. Przed nim zobaczyłem człowieka, który zbierał pieniądze na chore dziecko. Napisał na kartce, że jego córka Julia potrzebuje operacji we Francji za blisko pięćdziesiąt tysięcy złotych. Brakowało mu jeszcze czternastu. Przez chwilę przyglądałem mu się w zaszepieniu. Nie mogłem pogodzić się z tym, że życie jego córki wyceniono na kwotę, którą wtedy zarabiałem w niewiele ponad miesiąc.

Krótko po tym zdecydowałem się go zaczepić. By potwierdzić to, co napisał, podałem mu rękę i zobaczyłem cierpiące dziecko, które niedawno pożegnał, wychodząc z domu. Nie chciałem wybiegać w przyszłość, bo nie miałem odwagi przekonać się, czy dziewczynka przeżyje. Wiedziałem natomiast, że sama nadzieja tych ludzi była zdecydowanie więcej warta od brakujących czternastu tysięcy. Zapytałem go, kiedy najwcześniej mogą ją operować i jak się trzymają. Nie chcąc robić szumnych zapowiedzi, dałem mu dwadzieścia złotych, które miałem w kieszeni, i poprosiłem o numer telefonu. Zapytał, w jakim celu go potrzebuję, na co odpowiedziałem, że przyda się, gdybym miał okazję jeszcze im pomóc.

Zrezygnowałem z wizyty w markecie, wsiadłem do auta i udałem się prosto do banku. Wypląciłem okrągłe dwadzieścia tysięcy złotych i wróciłem w miejsce, gdzie widziałem go ostatnio. Już tam nie stał, więc zadzwoniłem na podany przez niego numer. Powiedział, że jest właśnie w domu na obiedzie i znów będzie przed marketem za pół godziny. Nie

wyjaśniłem mu, w jakim celu dzwoniłem. Kiedy o to zapytał, powiedziałem, że niedługo porozmawiamy, i przerwałem połączenie. Było mi na rękę, że jest u siebie, bo nie chciałem robić sceny w miejscu publicznym. Znałem jego adres z wizji, więc nie zastanawiając się wiele, pojechałem tam.

Mężczyzna bez zastanowienia wpuścił mnie do środka, chociaż nie miał pojęcia, jak go znalazłem i co mu przywiozłem. Poznałem jego żonę i na własne oczy zobaczyłem Julię – ich siedmioletnią córeczkę, z której z każdą chwilą uciekało życie. Mimo że wcześniej widziałem ją w wizji, poczułem się strasznie zdołowany. Bezsilność wobec takiej niesprawiedliwości przypomniła mi, jak okrutny bywa kierujący nami los.

Wszyscy wydawali się mocno zaintrygowani moją wizytą.

- Co pana do nas sprowadza? Jak pan tu trafił? – zapytał ojciec dziecka.
- Chciałbym pomóc państwa córce. Coś ze sobą przywiozłem.

Wolałem nie kłamać, więc nie odpowiedziałem na jego drugie pytanie. Chwilę po tym wyciągnąłem kopertę z pieniędzmi.

- Nie wierzę...
- Tu jest dwadzieścia tysięcy złotych, zrobią państwo z nich większy pożytek, niż sam byłbym w stanie.

Stali przede mną w całkowitym osłupieniu, a mała Julka przyglądała się nam z drugiego pokoju. Naraz podbiegła do mnie i uścisnęła chyba z wszystkich sił, jakie pozostały w tym chorym ciałku.

Gdy zamknąłem oczy, zobaczyłem kilka krótkich migawek z jej dalszego życia. W jednej z nich widziałem, jak przerażona zasypia na stole operacyjnym. Przeżyłem to tak mocno, że kiedy w następnej upewniłem się, że wszystko będzie dobrze, wróciłem do tej chwili i starałem się w jakiś sposób na nią wpłynąć. Ponownie czując jej strach, odruchowo spróbowałem ją uspokoić... zupełnie jakbym mógł oddziaływać na ludzi już w trakcie wizji. Chociaż nie mogła mnie usłyszeć ani zobaczyć, czułem, że w ten sposób mogę jej pomóc.

Po rozchyleniu powiek towarzyszyła mi nieopisana radość. Nawet nie chciałem zastanawiać się, co by było, gdybym nie spotkał jej taty.

- Dziękuję panu – powiedziała.
- Wszyscy dziękujemy... – dodała jej mama łamiącym się głosem.

– Trzymam kciuki za to, żeby wszystko było dobrze. Zachowajcie numer, z którego dziś dzwoniłem. W razie gdybym mógł jeszcze się przydać, dajcie znać.

– Ale dwadzieścia tysięcy to za dużo, brakowało nam tylko czternastu... – zreflektował się ojciec.

– Francja jest daleko, a koszty są tam wysokie. Chciałbym, żeby niczego wam nie zabrakło.

– Jest pan aniołem? – zaskoczyła mnie pytaniem chora dziewczynka.

– Nie, po prostu bardzo chciałem ci pomóc.

– Mama mówiła, że czuwają nade mną aniołki i na pewno któryś z nich mi pomoże.

Dla mnie jest pan aniołem... – Szeroko się uśmiechnęła.

Poczułem, jakby uderzył mnie piorun. Ja aniołem?! Przecież uważałem się za wcielenie zła. Nie wierzyłem, że tak przyziemnym gestem mogę odmienić życie niewinnej istoty. Ktoś zobaczył we mnie dobro, choć sam nie byłem w stanie go dostrzec.

Ta scena wzruszyła mnie na tyle, że nie umiałem już powiedzieć niczego, co miałoby sens. Rodzina zaproponowała mi wspólny obiad, ale szybko podziękowałem i wyszedłem, nie kryjąc przejęcia. Mimo że miałem już za sobą kilka dobrych uczynków, dopiero wtedy przekonałem się, czym jest prawdziwie bezinteresowna pomoc.

Dzięki temu zdarzeniu zrozumiałem, że mogłem wykorzystać swój dar do wielkich celów. Z łatwością przekraczałem ludzkie ograniczenia i tylko ode mnie zależało, czy moje życie będzie defektem, czy blaskiem w historii ludzkości.

Zwiedzając wyspę, zorientowałem się, że nie jestem na niej sam. Szybko zrozumiałem, że nie mogę przywłaszczyć sobie wszystkiego, co skrywa. Razem z tym uświadomiłem sobie, że osiedlenie w tym miejscu wiąże się z obowiązkami wobec zamieszkującej ją społeczności i współodpowiedzialnością za jej dobro.